

— Chcemy przenieść cię, ojczu, na tratwę — odpowiedziała Helga.

— Na tratwę? — poderwał się, czerwieniejąc mimo swej bladoci z tłumionego gniewu. — Co ja mam wspólnego z waszą tratwą. Jeśli skazujecie biedną „Aninę” na zagładę, to pozwólcie i mnie wraz z nią zginąć.

Spojrzałem mu w oczy i przekonałem się, że mętny ich wyraz świadczy o zupełnej niepoczytalności biednego człowieka. W tej chwili nie odpowiadał on za swe słowa i czyny i należało go skłonić do ustępstw za wszelką cenę.

Helga spojrzała na mnie porozumiewawczo i skinęła głową. Zaczęłem więc, nie oglądając się na nic, przywiązywać sznury do brzegów łódki. Drżącymi rękoma próbował chory powstrzymać mnie.

— Niechże pan będzie rozsądnym, kapitanie! — starałem się go uspokoić. — Niech pan okaże się owym dzielnym duńskim marynarzem, za którego pan chce uchodzić.

Głośny wybuch płaczu odpowiedział moim słowom. Chory łkając zakrył oczy i w tej pozycji pozostał już, dopóki nie odwiązaliśmy łódki. Spokojnie dał się wynieść na pokład.

Wbrew obawom udało nam się doskonale spuścić chorego z pokładu i radosne Bogu dzięki! wyrwało się z moich ust, kiedy szczęśliwie ulokowaliśmy chorego na tratwie.

— Chodź i ty zaraz, Helgo! — zawołałem — musimy natychmiast odbijać. „Anina” już się tak pogryzła, że każdej chwili może zatonać.

— Kilkanaście minut czasu mamy przecież jeszcze — odpowiedziała Helga. — Chciałabym jeszcze zebrać trochę drobiazgów, które dla mnie mają wielką wartość.

— Dobrze — tylko prędko!

Kiedy Helga zniknęła w kajucie, zwróciłem się do kapitana, który przez wpół przymknięte oczy, osowił, patrzył na mnie.

— Czy Helga zostanie na statku? — zapytał.

— Na Boga! — zawołałem przerażony. — Przecież za jedną lub dwie minuty wróci do nas.

— A więc na prawdę pozostawiacie „Aninę” jej nieszcześliwemu losowi? — biadał chory.

Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się. Z tym nie było co mówić. Przypominałem sobie jeszcze coś, o czym przedtem nie pomyślałem. Kamizelka i lekki kaftan — w tej chwili jedyne ubranie kapitana — chroniły go bardzo niedostatecznie przeciw nie pogodzie. Głowę miał odkrytą, a dolna część ciała otulona była tylko kołdrą. Przypominałem sobie, że w kajucie kapitana widziałem bluzę marynarską, czapkę i płaszcz. Skoczyłem więc jeszcze raz na pokład i przyniosłem te rzeczy. Helgi nie było jeszcze widać. Pełen niepokoju wróciłem na tratwę i ubrałem kapitana w czapkę, otulając go dobrze w płaszcz.

Po dziesięciu minutach ukazała się wreszcie na pokładzie Helga. Nie byłym jej prawie poznał, zmieniła bowiem strój chłopca na ubranie kobiece. Wyglądała w niem prawie o głowę wyższa. Niebieska suknia z zakieciem, przybrany futerkiem, otulała jej zgrabną postać, a na złote swe włosy włożyła kołpak futrzany w kształcie turbanu. W ręce trzymała paczkę, którą podała mi w chwili, gdy fala podniosła mnie do góry.

— Pani nie będzie mogła teraz skoczyć — zawołałem. — Proszę, niech pani spuści się po łańcuchu kotwicznym, spróbuję podjechać tratwą jak najbliżej.

Ale ona w odpowiedzi, śmiejąc się, zebrała suknię i kiedy następna fala podniosła nasz nowy statek do góry, skoczyła bardzo zgrabnie, przyklekając zlekka, aby nie upaść.

Już też był ostateczny czas, aby oddać się od tonącego okrętu. W razie dalszego zwleknięcia groziło nam, że wir, powstały w chwili zatonięcia „Aniny”, porwie nas wraz z nią w głębinę. Przeciąłem więc linę, która łączyła nas jeszcze ze statkiem i przy pomocy Helgi odepchnąłem się silnie od statku. Użyliśmy do tego kawałka masztu, który nam potem miał służyć jako maszt sygnałowy. Właśnie słońce zniknęło na zachodzie, kiedy wyruszyliśmy na naszym nowym statku na morze. Fale toczyły się

wprawdzie dosyć silnie, ale płynęły jednostajnie. Uniosły nas też szybko od tonącego statku. Wśród naszych zapasów mieliśmy latarnię, bankę z oliwą, paczkę knotów i kilka paczek zapalek. Mogliśmy więc i w nocy dawać sygnały światłem. Przy pomocy Helgi ustawiłem na środku tratwy w tym celu nasz prowizoryczny maszt.

Po przymocowaniu go, wyciągnęliśmy na jego szczyt palącą się latarnię. Następnie usiedliśmy w milczeniu na środku tratwy i patrzyliśmy ze smutkiem i żalem na kadłub okrętu, który jeszcze ciągle rysował się ostrymi zarysami na tle gasnącej purpury zachodu. Kapitan Nilsen leżał również nieruchomo na swem pościu, zapatrzony w ginący statek.

Ponieważ na pokładzie „Aniny” nie zdejmowałem ani na chwilę mojego ciężkiego marynarskiego ubrania, miałem na sobie tę samą suknię, w której przeszłego wieczora opuściłem dom rodzinny w Tintrenale. Obecnie zaś umyślnie nie zmieniłem mej odzieży na lżejszą, ponieważ nie chciałem, aby w razie rozbicia się naszej tratwy lekkie ubranie napróżno



Okręt rysował się ostrymi zarysami na tle gasnącej purpury zachodu.

nie przedłużało mi śmiertelnej walki. Umiąłem bowiem doskonale pływać.

Na zachodzie zgasły już ostatnie blaski dnia, a tylko słabe światło gwiazd rozjaśniało trochę ciemności nocy. W tem niepewnym świetle w oddali widać było ciągle jeszcze ciemne zarysy „Aniny”, która ciężko chwiała się na falach. Statek ten widocznie był jeszcze dosyć odporny, więcej nawet, niż przypuszczałem. Roje smutnych myśli opadły mnie i zatopiony w nich patrzyłem na słabo świecące resztki żagli, które powiewały na rejach „Aniny”. Wreszcie wyrwałem się z mej smutnej zadumy i otrząsnąwszy się z mych myśli, stanąłem pod naszym masztem, aby na rozległym horyzoncie szukać światła jakiego parowca, spieszącego nam z ratunkiem. Wobec panującej ciszy, zagłowca nie spodziewałem się ujrzeć.

Nagle rozległ się za mną przeraźliwy krzyk. Jakby wycie dzikiego zwierza rozdarło powietrze, ale w tym nieartykułowanym dźwięku drżało tyle bólu wewnętrzznego, tyle ludzkiego uczucia, że na chwilę przykuło mnie bez ruchu do miejsca. Z wysiłkiem odwróciłem się. Kapitan Nilsen siedział wyprostowany na swem łóżku, zdrewniał jakby z drzewa i wskazywał wyciągniętą ręką na morze. Spojrza-

łem! Czarna masa znikła zupełnie! Przez chwilę zamajaczyły na powierzchni fal porwane reje, liny i resztki masztów. Rozległ się podobny do wybuchu huk pękającego pod naporem wody pokładu. W kilka sekund morze uspokoiło się, a wszelki ślad „Aniny” zniknął zupełnie.

— Na pomoc! — zawołała Helga — mój ojciec umiera.

Jednym skokiem znalazłem się przy łóżu kapitana i pochyliłem nad nim. Leżał omdlały, a z pośród poduszek wzywała ku mnie jego blada twarz. Spuściłem szybko na dół latarnię i przy jej świetle wlałem trochę whisky do kubka cynowego. Przybliżyłem naczynie do ust chorego, chcąc mu wlać trochę do gardła, ale kapitan zacisnął mocno zęby.

— Pani ojciec omdlał tylko, Helgo!

Ponieważ na razie nie można było mu nic pomóc, wyciągnąłem latarnię znowu do góry i przykleknąłem obok pościu, aby móżdż każdej chwili Heldze pospieszyć z pomocą. Wobec ogromu boleści biednego dziewczęcia nie znajdowałem żadnych słów pociechy. Przez długi moment panującą wokół głowę przerywały tylko łkania biednej Helgi i świszczący oddech kapitana.

Mimo, iż wiatr, który wiał ponad Oceanem, był bardzo słaby, przyniósł jednak ze sobą dotkliwe zimno październikowej nocy. Zdjąłem moją zarzutkę i zmusiłem Helgę, aby ją włożyła. Lekki zakieci jej wobec wzrastającego zimna nie zabezpieczał jej zupełnie. Napróżno jednak nakłaniałem ją, aby się choć trochę posiliła. Zaledwie z wielką biedą zdołałem wmówić w nią, aby wypila kilka łyków whisky. Sam wypilem szklanekę whisky i przegryzłem kawałkiem suchara i odrobiną sera. Położyłem się następnie przy pościu kapitana, opierając głowę na rękach.

Kiedy po chwili oddech kapitana stał się trochę wolniejszy, Helga poprosiła mnie, abym zniżył latarnię. Chciała bowiem dokładniej zbadać stan chorego. Kapitan nie miał już tak zacisniętych zębów jak przedtem, także oczy nie patrzyły tak nieprzytomnie. Mimo to jednak zachowały swój błędny wyraz i ani drgnęły, kiedy latarnię zaświeciłem mu tuż przy twarzy. Posadziliśmy go, a Helga spróbowała wlać mu parę kropel whisky do ust. Próba ta okazała się jednak daremną, płyn bowiem wylewał mu się z ust kątami.

Delikatnie złożyłem chorego z powrotem na poduszkach i prosiłem młode dziewczę, aby go już nie męczyła.

— On nie przeżyje tej nocy — szepnęła Helga głosem, dławionym przez łzy.

— Musi się pani na to przygotować — odpowiedziałem posępnie.

— Ach! któż jest kiedy przygotowany na to, gdy traci ukochaną przez siebie istotę — załkała. — Gdy on umrze, zostanę zupełnie sama na świecie. A najstraszniejsze, że tu w takich warunkach musi umierać.

Milczałem. Słowa nie przyniosłyby jej pociechy.

Znowu upłynęła może godzina. Prawdopodobnie zdrzemnąłem się trochę, gdyż zerwałem się nagle przestraszony, kiedy usłyszałem, że Helga mnie woła.

— Co się stało? — spytałem na pół przytomnie.

— Ojciec wzywa pana do siebie.

Natychmiast wytrzeźwiałem ze snu, pochyliłem się nad chorym i ująłem go za rękę, która była zimna i pokryta potem.

— Jestem przy tobie — kapitanie Nilsen.

Chory na dźwięk mego głosu poruszył się.

— Jeśli Bóg pozwoli — zaszeptał ledwie dobywając głosu — jeśli pan się uratuje, czy dotrzymam pan danego słowa?

— Na pewno. Może pan mi zupełnie zaufać.

— Dziękuję panu — szepnął chory, ciężko wzdychając. — Helgo! mówiłaś mi poprzednio, że masz obraz twojej matki.

— Mam, ojczu!

— Ach, żebym choć raz jeszcze mógł na nią spojrzeć, ostatni raz Helgo! ostatni raz.

— Gdzie jest pani paczka? — zapytałem.

— Tutaj, zaraz obok mnie.

Ciąg dalszy nastąpi.